

Walenty Kotula*

Ślady wojny w mojej świadomości – osoby urodzonej po 1945 r.

Przez Głogów Małopolski, jak przez wszystkie miejscowości regionu i kraju, przetoczył się walec II wojny światowej. Miasteczko pozostawało na uboczu decydujących zdarzeń, ale jego mieszkańcy przeżyli wiele osobistych tragedii, które mocno zakorzeniły się w pamięci mieszkańców, ich dzieci, a nawet wnuków. W wielu domach pamięć o tych tragicznych dniach jest pielęgnowana mimo upływu czasu. Coraz młodsze pokolenie ma możliwość zapoznania się z przeszłością przodków.

Spod okupacji hitlerowskiej miasteczko zostało oswobodzone na przełomie lipca i sierpnia 1944 r. Kiedy dorastałem, w opowieściach starszych ludzi ciągle powracały wspomnienia tamtych dni. Urodziłem się w roku 1950 i obraz owego czasu był kształtowany przez rodziców, dziadków oraz tych, którzy na własnej skórze odczuli skutki obu okupacji, hitlerowskiej i sowieckiej. Moje pokolenie pozostało niejako skażone, porażone skutkami wojny, a później władzy ludowej. Z biegiem lat obraz ten zacierał się, zmieniał barwy, zmieniało się nastawienie do wydarzeń lat czterdziestych. Przez lata dane mi było obserwować młodsze pokolenia i zauważyłem, że barbarzyństwa wojny błędną w ich świadomości, że młodzi obojętnieją. Młodzież patrzy na wojnę z perspektywy mitologizowanych i często zafałszowanych obrazów

*Walenty Kotula, Stowarzyszenie „Lasowiaczy” z Głogowa Małopolskiego.

i bohaterów filmowych bądź książkowych typu: „Tylko dla orłów”, „Jak rozpętałem drugą wojnę światową”, „Czterech pancernych” czy „Stawka większa niż życie”.

Traumatycznym przeżyciem dla pokolenia moich rodziców była zagłada Żydów, obywateli polskich. W moim rodzinnym domu powracały wspomnienia o sąsiadach wyznania mojżeszowego. Byli to najczęściej sąsiedzi, koledzy z ławy szkolnej, koleżanki zabaw. Nagle w połowie 1942 r. zniknęli ze społeczności. W domowych rozmowach w czasach mojego dzieciństwa rodzice jakże często powracali do głogowian, którzy zostali zamordowani, rozstrzelani, wywiezieni do obozów zagłady przez hitlerowców. Nie znałem pokolenia rówieśników żydowskich moich rodziców, lecz oczami wyobraźni widziałem ich. Byli obecni wśród nas, bo ciągle się o nich mówiło.

Do Głogowa od strony wschodniej i południowej przylega las zwany Borem. To on stał się miejscem kaźni Żydów. Masowe groby kryją szczątki kilku tysięcy osób rozstrzelanych przez Niemców w czerwcu 1942 r. Często odwiedzam to miejsce. W pamięci powracają opowieści rodziców o tym, jak przylegające do Boru pola uprawne zostały otoczone przez oddziały SS i własowców. Bez ostrzeżenia rozstrzeliwali każdego, kto się zbliżył. Co odważniejsi narażając życie, czołgając się wśród dojrzewających zbóż i nieskoszonych traw, docierali jak dało się najbliżej miejsca kaźni. Słychać było jęki konających, krzyk mordowanych. W Głogowie słychać było ciągły szczełkot karabinów maszynowych.

Opowiadania o tamtych straszliwych zdarzeniach towarzyszą mi, wryły się głęboko w moją pamięć. Ciszę wiecznego spoczynku żydowskich ofiar niemieckiej zbrodni przerywa dziś palba strzelb myśliwskich i sztucerów z pobliskiej strzelnicy, serie z broni maszynowej ćwiczących żołnierzy i innych służb. Są to dla mnie odgłosy straszne, przywołujące opowieści rodziców z lat czterdziestych XX w. Zarazem zdaję

sobie sprawę, że konieczne jest przygotowanie na wypadek agresji i ćwiczenia strzeleckie są bardzo potrzebne.

O tym, jaką głęboką rysę w psychice pozostawiła zagłada Żydów, niech świadczą wspomnienia matki mojej żony. Teresa Rzepka urodziła się w 1932 r.; wychowywała się w Leżajsku, jej ojciec Leonard był właścicielem młyna. Znaczną część mieszkańców Leżajska stanowili starozakonni. Przez przypadek dziewczyna była świadkiem mordu na ludności żydowskiej, gdy biegła opłotkami do rodziny w kierunku Zmulisk, dzisiejszej dzielnicy Leżajska. To przeżycie było tak silne, że i w późnym wieku budziła się w nocy, zrywała się, krzyczała. Również realna groźba zastrzelenia przez hitlerowca na oczach rodziny jej ojca stanowiła doświadczenie, którego nie mógł zatrzeć mijający czas. Ktoś doniósł, że młynarz nie oddał żaren i po kryjomu miele zboże dla ludności. Nie wiadomo, dlaczego Niemiec odstąpił od swego zamiaru. Czy przeraźliwy płacz żony, czy przytulenie się kilkuletniej córki Teresy do nóg hitlerowca? Oprawca schował do kabury pistolet. Kazał rozbić żarna i bez słowa wyszedł. Minęło kilkadziesiąt lat od tego zdarzenia, a czas nie zatarł tego przeżycia. Kiedy o tym słuchałem, zawsze towarzyszył mi dreszcz strachu.

Zdarzeniem z czasów niemieckiej okupacji, które poznałem z opowieści mojej mamy, Krystyny, było zastrzelenie głogowskiego adwokata, Joachima Kolbera. Synagoga głogowska sąsiadowała z obejściem mojego dziadka, Sebastiana Matejskiego. Mamusia była wówczas już osobą dorosłą, „na wydaniu”. Tego dnia poszła do drzewutni po drzewo i była mimowolnym świadkiem śmierci głogowskiego prawnika. Joachim Kolber kłęczał nad brzegiem stawu i po niemiecku prosił Niemca o darowanie życia. Mama przerażona wycofała się do drwalnika. Po strzale nieszczęśnik wpadł do sadzawki. Domownicy znaleźli mamę roztrzęsioną i zaprowadzili do domu. Do końca swego długiego życia (przeżyła

90 lat) nie mogła wymazać z pamięci tego obrazu. Szczególnie w okresie starości często do niego wracała. Przypominała nam, że katolik ma obowiązek wybaczać, lecz nigdy o takich wydarzeniach nie wolno zapominać, a wiedzę o nich trzeba przekazywać młodym pokoleniom – *pro memoriam*.

Zakończenie działań II wojny światowej w Głogowie przeszło prawie bez echa. Jednak doszło do tragicznych wypadków. W czasie wycofywania się Niemców na miasteczko spadło kilka bomb, które zburzyły dom rodzinny Kazimierza Nitki. W gruzach zginęli jego najbliżsi. Odłamki szkła stały się bezpośrednią tragedią Cecylii Rudolf, która w sąsiednim domu, karmiąc piersią córkę, dwumiesięczną Krysię, po pierwszym wybuchu otworzyła okna, by uniknąć rozbicia szyb okiennych. Nastąpił drugi wybuch. Odłamki szkła z okna tak mocno poraniły twarz i oczy, że mimo wysiłków miejscowego lekarza, dr. Krzysia, i medyka sowieckiego, nie udało się uratować jej wzroku. Do końca życia pozostała niewidoma. Wspominam te postacie również dlatego, że w tych rodzinach wojna odcisnęła tragiczne piętno. Kazimierz Nitka był człowiekiem wykształconym, nauczycielem. Przed wojną napisał i wydał broszurę *Z najstarszych dziejów Głogowa – część I*. W czasie wojny działał w AK. Po tragedii, jaka spotkała jego najbliższych w czasie bombardowania Głogowa, został przez NKWD aresztowany i najprawdopodobniej zamordowany w lasach Turzy koło Sokołowa Małopolskiego. Jego grobu nie odnaleziono. Mimo upływu tylu lat od tamtej tragedii postać tę często w miasteczku się wspomina. Podobnie jest z rodziną Rudolfów. Mąż Cecylii – Marian, jako zawodowy podoficer dostał się do niewoli sowieckiej po 17 września 1939 r. Uniknął transportu do łagrów. Jednak w katowniach rosyjskich spędził parę miesięcy. Prawdopodobnie uratowało go to, że miał spracowane, zniszczone dłonie. Ukrywał się przed Sowietami i Niemcami. Po jakimś czasie dotarł do rodziny. Miał dwóch braci, którzy byli zakonnikami. Jeden

z nich, Franciszek (imię zakonne Wiktoryn), został zamordowany przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym w Dachau 9 kwietnia 1942 r. Najstarszy syn Mariana, Kazimierz (ur. 1925 r.), nazywany przez rodzinę Ziutkiem, miał rozpocząć naukę w gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim we wrześniu 1939 r. Tam przebywali w zakonie jego stryjowie, Wiktoryn i Kazimierz (imię zakonne Emanuel). Po wybuchu wojny stryjowie zakonnicy zaopiekowali się nim, zamieszkali u nich w klasztorze. Z przekazów rodzinnych wiadomo, że uczył się na tajne komplety, że dość często korespondował z rodzicami. Do Głogowa jednak nigdy nie przyjechał. Ostatni list, jaki rodzina od niego otrzymała, datowany był na kwiecień 1944 r. Listy te nie zachowały się. Okoliczności zaginięcia i śmierci Ziutka nigdy nie dało się ustalić. Jego młodszy o 4 lata brat, Józef, wspominał, że Ziutek zaangażował się w walkę jako żołnierz niezłomny przeciwko nowej władzy i czerwonemu armistom. Dało się ustalić, że w czasie walk z Rosjanami pod Pińczowem został ciężko ranny. Na tablicy w Pińczowie wśród poległych jest wymienione jego nazwisko; ciała nigdy nie odnaleziono. Inni żołnierze walczącego podziemia, aresztowani, skazani przez NKWD i zesłani na Sybir twierdzili, że widzieli wśród łagierników Kazimierza Rudolfa. Był skatowany i skrajnie wyczerpany. Strona rosyjska nie potwierdziła tych informacji. Na monity rodziny Rosjanie nigdy nie odpowiedzieli. Dla rodziców zaginięcie syna pozostało do końca ich życia bolesną, niezagojoną raną. Na prośbę matki wszystkie listy Ziutka po jej śmierci włożono do jej trumny. Chociaż w ten sposób chciała mieć syna przy sobie.

Obie wspomniane rodziny były spokrewnione z naszym domem, toteż zasygnalizowane tragiczne historie znam dość dobrze i staram się przekazywać je młodemu pokoleniu tak, jak zapamiętałem je z opowieści rodziców i krewnych.

Przykładem tragedii polskich rodzin za okupacji jest los rodziny ciotki, Eleonory Tyblewskiej – siostry mojej mamy. Przed wojną ukończyła seminarium nauczycielskie. Na początku pracy zawodowej zaopiekowali się nią wspomniani wcześniej jej wujowie, bernardyni. Pracowała w Rajsku, wsi obecnie położonej we wschodniej części województwa wielkopolskiego. Tam poznała męża, Romualda Tyblewskiego, kierownika szkoły. Dochowali się dwóch córek. W pierwszych dniach września Romualda jako oficera wojska polskiego, w przeszłości uczestnika powstania wielkopolskiego, aresztowało gestapo. Został zamordowany przez hitlerowców w obozie koncentracyjnym w Mauthausen–Gusen 9 kwietnia 1941 r. Prochy jego nigdy nie zostały sprowadzone do Polski. Po aresztowaniu męża Eleonora postanowiła udać się do rodziny męża na Wileńszczyznę. W tym czasie w Rajsku przebywała moja mama, by pomóc w opiece nad kilkuletnimi siostrzenicami. W trakcie ucieczki na Kresy konwoje uciekinierów były bombardowane. Podczas jednego z nalotów córeczki ciotki zagubiły się. Zawsze w oczach mamy widziałem przerażenie, kiedy opowiadała o tamtych wydarzeniach. Dziewczynki „cudem” odnalazła gdzieś w okolicach Grodna ciocia Fela, uciekająca z Warszawy przed Niemcami. Na Litwę nie dotarły. Tyblewska wróciła do Rajska, a moja mama z siostrą Felicją wróciły do Głogowa. Tułaczka ich trwała prawie do początku grudnia 1939 r. W czasach mego dzieciństwa i młodości o takich historiach publicznie się nie mówiło. Opowieści krążyły tylko w gronie rodzinnym i wśród osób zaufanych.

Dość dobrze znam wojenne losy rodziców i dziadków mego serdecznego przyjaciela, Henryka Cichockiego. O losach tej rodziny mama Henia opowiadała nam, kiedy zdobyliśmy jej zaufanie i takie tajemnice mogła nam powierzyć. A dotyczyły one losów polskich oficerów zamordowanych w Katyniu i z obozów w Starobielsku i Ostaszkowie.

Dziadek kolegi, Jan Zawadowski, był oficerem polskim w stopniu kapitana w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Po tej wojnie pracował w starostwie lubaczowskim. Tam zastała go napaść Rosjan, którzy 17 września 1939 r. wkroczyli do Polski. Był na liście NKWD i został aresztowany. Jego żona z dorosłymi dziećmi – Ireną i Jerzym, postanowiła udać się w głąb terytorium radzieckiego, będąc pewną, że odszuka ukochanego męża i ojca. W efekcie znaleźli się w Kazachstanie. Przeżyli tam okropność zsyłki. Syn przedostał się do armii gen. Andersa. Walczył we Włoszech. Szczęśliwie przeżył wojnę. Do kraju nigdy nie wrócił. Bardzo tęsknił za ukochanymi Kresami, za matką i siostrą, które wróciły do Polski.

W Rzeszowie Irena wyszła za mąż za „lwowiaka” Tadeusza Cichockiego. Tadeusz wraz z rodziną „wylądował” w 1939 r. w Irkucku. Uległ ciężkiemu wypadkowi przy wyrębie taji. Przywaliło go ścinane drzewo. Nie zdążył na czas wyleczyć złamanej nogi i dotrzeć do armii Andersa. Na Syberii pozostał do pierwszych transportów repatriacyjnych. Osiadł w Rzeszowie. Swój los związał z Ireną Zawadowską. Państwo Cichoccy doczekali trójki dzieci – Henryka, Piotra i Anny. Pani Cichocka nie mogła cieszyć się z wykształconych dzieci i wnuków. Przeżycia wojenne, zsyłka do Kazachstanu nadwątlily jej zdrowie. Zmarła w 1970 r. w wieku 50 lat. Jest pochowana na rzeszowskim cmentarzu Pobitno. Jako studenci często zaglądaliśmy do Cichockich. Pani Irena bardzo lubiła grać w brydża. To była jedna z niewielu jej rozrywek. Miała trudności w poruszaniu się. Nigdy nie opuszczał jej dobry humor. Musieliśmy, jak przed matką, „spowiadać się” jej z naszych postępów w nauce. Trochę moralizowała i przypominała, na czym polegają manierzy wykształconej młodzieży – dobrze je znała jako przedwojenna panienska z dobrego domu. Jej mąż przeżył ponad sto lat. Działał w Związku Sybiraków. Lubił spacerować po lesie i wyprawy na grzyby. Zabieraliśmy go na imprezy sportowe;

kibicował Stali Rzeszów i Resovii. Uważał jednak, że prawdziwym jego klubem była Pogoń Lwów.

Pewne jest, że kpt. Jan Zawadowski został rozstrzelany w 1940 r. Jedne źródła potwierdzają, że zginął w Katyniu, kolejne sugerują, że było to w innym miejscu kaźni. Jego rodzinny brat – Stefan Zawadowski, oficer wojska polskiego w stopniu kapitana, znajduje się na „Liście Katyńskiej”.

Babcia mego przyjaciela spoczywa na cmentarzu w Domaradzu. Żona Henryka, pani Elżbieta Cichocka z domu Podgórska, opowiedziała mi zgoła odmienną historię wojennych losów jej Mamy. W czasie II wojny światowej była ona dorastającą panienką. Mieszkała z rodziną w centrum Rzeszowa. By w jakiś sposób przetrwać i pomóc rodzinie, malowane przez siebie obrazy oddawała do sklepu pana Szajtra (starzy mieszkańcy centrum Rzeszowa z łatwością wskażą to miejsce – róg ulic Kościuszki i Grunwaldzkiej). Kupowali je między innymi dwaj żołnierze niemieccy (jak podała pani Cichocka, nazywali się Fischer i Weber). Prosiła tylko, by sklepikarz nie podawał bliższych danych autorki. Na obrazach był tylko jej autograf. Jakież było jej zdziwienie, kiedy w stanie wojennym otrzymywała paczki z Norymbergii. Okazało się, że w tych trudnych dla nas czasach przypomnieli sobie o niej owi Niemcy. Odnaleźli ją przez polski i niemiecki Czerwony Krzyż. Znali jej panieńskie nazwisko. Co więcej, kiedy przed Polakami na nowo otwarły się bramy Europy, zaprosili ją do Norymbergii. Zorganizowali wernisaż. Może w ten sposób chcieli spłacić dług za barbarzyństwa współziomków na ludności polskiej w latach czterdziestych? Może kierowali się innymi względami? Któż to wie? Elżbieta Cichocka przytoczyła mi pewne wydarzenie okupacyjne dotyczące jej Babci, mamy malarki-amatorki. Kobieta ta była znaną akuszerką rzeszowską. Pomagała także przy porodach rodzinom żydowskim. Została zatrzymana przez gestapo i zawieszona do getta tylko za to, że nosiła rodowe nazwisko Haber.

Hitlerowcy twierdzili, że jest Żydówką. Nie pomogły tłumaczenia. Dopiero na miejscu sami Żydzi potwierdzili, że jest „gojką” i to ją uratowało.

Wzmiankowane przeze mnie historie, które bardzo mocno wpływały na moją wrażliwość, a o których wiedzę zawdzięczam świadkom wydarzeń, są potwierdzeniem, że niemieckie zbrodnie nie dotyczyły tylko wybranych, że były wymierzone w cały naród.

*

W latach umacniania się „władzy ludowej” pomijano milczeniem prawdziwych bohaterów. Starano się wymazać ich z pamięci potomnych lub przedstawić w niekorzystnym świetle. Aby prawda o nich nie zaginęła, wielką rolę odegrał dom rodzinny, Kościół i umiejętne przekazywanie pewnych treści przez nauczycieli. Bardzo trudne dla mojego pokolenia było zrozumienie rozbieżności – tego, czego nauczano w szkole, a o czym mówiono w domu! Jakże trudno było oddzielić „plewy od ziarna”. W znacznej mierze udało się to osiągnąć. Czy wszystkim? Trudno osądzić. Wiem to po sobie, że bardzo krytycznie i z wielką dozą nieufności podchodzę do różnych bombardujących mnie źródeł informacji.

*

Przygotowując się do spisania wspomnień zastanawiałem się, jak okupacja hitlerowska i uzależnienie państwa od sowietów zmieniło oblicze naszego narodu. Dotychczasowe, w miarę spokojne życie społeczeństwa małomiasteczkowego, zostało brutalnie zmienione. Całe życie uległo diametralnym przekształceniom. Przykładem niech będzie tradycyjne głogowskie rzemiosło. Jeszcze w latach pięćdziesiątych XX w. w Głogowie była dość znaczna grupa rzemieślników, którzy zajmowali się wykonywaniem zawodów przekazywanych z pokolenia na pokolenie (masarzy, szewców, murarzy

czy cieśli). Głogowscy „kielbaśnicy” swoje wyroby masarskie wywozili do Lwowa, Krakowa i innych wielkich polskich miast. I dziś wśród wędlin można spotkać kielbasę głogowską, która tylko z nazwy przypomina słynną głogowską „siekaną z czosnkiem” sprzed wojny. W miasteczku ostało się kilku, którzy próbują nawiązać do tradycji. Są to mieszkańcy napływowi i masarstwo traktują jako pracę dodatkową. Żaden z potomków dawnych rodów masarskich Ładosiów, Grodeckich, Kałkowskich nie podjął się trudu kontynuowania tradycji rodzinnych. Podobnie jest z szewcami. Mistrzowie dratwy, szydła, kopyta z rodów Krydów i Gniewków odeszli, a potomkowie nie okazali chęci, by profesję kontynuować. W miasteczku znam jedyne szewca, który trudni się drobnymi naprawami. Jeszcze po wojnie wielu głogowskich murarzy wyjeżdżało na Śląsk, do Warszawy, na Wybrzeże na wielkie budowy. Przedwojenni mistrzowie kielni odeszli, a potomkowie z rzadka wykonują przekazany przez dziadków i ojców fach. Od czasu do czasu wzywani są do drobnych, kosmetycznych interwencji murarskich i tynkarskich.

Na taki stan rzeczy miało wpływ wiele czynników. Przede wszystkim stosunek władzy ludowej do prywatnej wytwórczości. Drakońskie przepisy podatkowe niszczyły tę grupę zawodową. Zmiany w cyklu produkcyjnym wypierały z rynku usługi rzemieślnicze. Zaczęła dominować masowa produkcja, masowe wytwarzanie dóbr materialnych, budowanie „dobrobytu” zgodnie z wymogami nowej władzy. Czynnikiem, który spowodował zmiany w powojennym myśleniu i bytowaniu, była chęć kształcenia. Pokolenie urodzone w połowie i pod koniec lat trzydziestych ruszyło w latach pięćdziesiątych XX w. szeroką drogą ku wiedzy. Przyczyny tego stanu rzeczy zapewne były różne. Jedni poszli za głosem „nowej władzy” obiecującej „złote góry”, możliwość zmiany statusu społecznego. Inni kierowali się hasłem „nie matura...” Większość ludzi, których znałem i znam z tego

pokolenia, po ukończeniu studiów wróciło w rodzinne strony. Stali się dla mego pokolenia inspiracją, by pójść w ich ślady. Z czasem zajmowali coraz wyższe stanowiska w administracji, kierowali dużymi zakładami pracy, stawali się wybitnymi prawnikami, inżynierami, lekarzami. Kiedy dorastałem, z utęsknieniem oczekiwałem na przyjazd do miasteczka na wakacje „naszych akademików”. W czasie towarzyskich spotkań, wieczornych biwaków przemycali nowinki o „przekrętach ludowej władzy”, że nie jest to tak, jak głosi rządowa propaganda i uliczne szczekaczki. W ten sposób prostowali trochę „skrzywione nasze polityczne kręgosłupy”. Wtedy też zdałem sobie sprawę z tego, jak wielką rolę odgrywa rodzina, przekazywanie pewnych prawd przez starsze pokolenie, które o wiele więcej przeżyło i ma krytyczny stosunek do wielu spraw.

Polacy to taki naród, który potrafi się łączyć i solidaryzować wobec zagrożenia bytu. To dom nauczył mnie tego, że nie można wynosić poza niego pewnych informacji. To rodzice nauczyli, że nie należy bezgranicznie ufać innym. To oni nauczeni doświadczeniem wojny, okupacji i represji wobec ludzi, którzy nie zgadzali się z nowym porządkiem, przekazali podstawowe i trwałe wartości moralne. Przykładem niech będzie usunięcie nauczania religii ze szkół. Byłem w początkowych klasach szkoły podstawowej. Nie zdawałem sobie sprawy, jak ważny to problem dla rodziców. I w tym miejscu kłania się znów solidarność społeczeństwa. W salce katechetycznej, w tak zwanej „ciemnej zakrytii” głogowskiego kościoła pojawiły się szkolne ławki. To zasługa ówczesnego kierownika szkoły, Władysława Manelskiego, i głogowskich nauczycieli. W tym czasie „musiał” wymienić sprzęt szkolny na nowy. Miejscowy zdun postawił piec. Odmalowano pomieszczenie. Katecheza mogła odbywać się bez przeszkód. Zaradni rodzice skrzyknęli się, opodatkowali na skromną pensję dla księdza katechety. Skąd o tym wiem?

Moja mama i grupa jej koleżanek przez kilka lat tym się zajmowały. Mama prowadziła księgowość tego przedsięwzięcia. Na spotkaniach w kościele informowała rodziców, rozliczała się z funduszy. Kiedy opuściliśmy z braćmi mury głogowskiej szkoły, przekazała te sprawy następnym rodzicom. Na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku religia wróciła do szkół. Jako nauczyciel często zwracałem uwagę uczniom na zachowanie w pomieszczeniach, gdzie obok godła wisi krzyż. Przypominałem, że o ten krzyż walczyli rodzice, że byli szykanowani. Czy to docierało do młodego pokolenia? Myślę, że tak. Często nie zdajemy sobie sprawy z tego, że to, co mamy w zasięgu ręki, zostało wywalczone i okupione ofiarami dawców.

Moje pokolenie, urodzone po 1945 r., było nękanie wstrząsami społecznymi. Z czego one wynikały? Przede wszystkim z niezadowolenia z obietnic, którymi karmiła nas władza. Powodowane były frustracjami, permanentnym okłamywaniem i fałszowaniem prawdy lat czterdziestych. Zakazem ukazywania bohaterów, a przedstawianiem ich w fałszywym świetle, mówieniem o nich jako o wrogach ojczyzny. Cieszyłem się z faktu, że gościliśmy w Głogowie w 1956 r. Węgrów, chociaż nie miałem pojęcia, dlaczego pojawili się w miasteczku. Jak przez mgłę pamiętam, że przebywali w naszym domu Madziarzy – rówieśnicy mego 12-letniego brata. Zachowały się fotki z tego okresu. Wtedy usłyszałem: na Węgrzech jest rewolucja i oni schronili się w Polsce. Stanęliśmy jako naród na wysokości zadania. O „wypadkach czerwcowych” w Poznaniu nie dowiedzieliśmy się od ówczesnych władz, a „pocztą pantoflową”. Władza wystąpienia robotnicze i ofiary tamtych wystąpień przedstawiała jako warcholstwo. Kiedy byłem w maturalnej klasie, w marcu 1968 r. „zagoniono” nas, maturzystów, do kina „Zorza” w Rzeszowie i próbowano przedstawić wystąpienia studentów jako bunt rozwydrzonej młodzieży i syjonistów. Nie daliśmy się

już na to nabrać. Mieliśmy w Krakowie, w Warszawie, Wrocławiu starszych kolegów, krewniaków lub rodzeństwo – studentów. To oni dość szybko przekazali prawdę o wystąpieniach braci akademickiej. Podobnie było z tragedią Grudnia na Wybrzeżu w 1970 r. Byłem wówczas studentem. Władze uczelni wprawdzie ogłosiły dni rektorskie w obawie o dołączenie studentów do protestujących robotników, lecz sporo z nich i tak to zrobiło. Po obaleniu władzy „ludowej” musieliśmy jeszcze przejść przez okropności stanu wojennego i działalność „WRON-y”. Wierzę, że i obecne wstrząsy społeczne oraz polityczne doprowadzą do zgody i pojednania.

Podobnie jak niegdyś moja mama w odniesieniu do lat wojny przypominała nam o obowiązku pamięci, ja również uważam, że o takich wydarzeniach nie wolno zapominać i że wiedzę o nich należy przekazywać przychodzącym pokoleniom – *pro memoriam*.